



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

5

(Ciąg dalszy).

W oddali majaczyły chaty włościańskie i zna-
czył się płamą czerwona dach wieżyczki kościelnej.

— Jakże wam się podobają, koleżanko — zwró-
cił się Żalecki do Olgi — okolice naszego miasta?

— Może to chwilowy nastrój, może wrażenie
tej jesiennej wiosny, ale upaja mnie ta harmonia
i spokój natury.

— Ja nie widzę tu nic ładnego — patrzył
przed siebie Waldman zmrużonymi oczyma — ja
lubie góry, na tych górach zamek w ruinie a na
dole płynie rzeka; to jest widok, jest na co pa-
trzeć... a tu pola, chałupy i nasze nudne mia-
steczko.

— No tak — uśmiechnął się Żalecki — jedni
wolą dekoracyjność teatralną, a drudzy prostotę
i szczerść natury.

— I co ty widzisz tu ładnego, pokaż mi, może
ja ślepy — zaśmiał się drwiąco.

— Spójrz na te pola, z których podnoszą się
lekkie opary i migocą opalowo w słońcu; jaka gra
kolorów na bogatej ziemi, złotawe rżyska, zielona
ruń, ciemne p'amy świeżej orki, zmęczona zieleń
naci kartoflanej, i ciągną się te pola gdzieś w dal
niebieska, ujęte z boku cichą wsią, tonącą wśród
drzew.

— Ty powinienś być poetą, a nie socjalistą —
zaśmiał się — ty widzisz jedną stronę, idealny
obraz, a nie rozumiesz, że te pola, to środek wy-
zysku robotnika, że te drogi to mniął prawie dar-
mo sypać robotnik, że ta kolej, to pełna łez i potu
robotnika. A ty zamiast smutku i bólu, ty się ra-
dujesz! Czy to słusnie?

Spojrzył tryumfująco na swych słuchaczy, ocze-
kując ich pochwał i uznania za swą wymowę i
partyjne poglądy. Spostrzegł jednak, że Helena
i Olga słuchają obojętnie, zaś Baumritt i Edmund
rozmawiają wymownie oczyma.

— Wam nie podobają się moje poglądy — uśmie-
chnął się dumnie — bo wy dzielcie wasze życie
na różne części: na poezję, miłość, naukę, zaba-
wę; a ja żyję jednym życiem, jedną myślą: aby
socjalna demokracja zatryumfowała. Czy może mi
kto z was zaprzeczyć?

— Nie lubię okularów jednostronności — ode-
zwała się Olga — lubię pełnię życia, ze wszyst-
kimi jego objawami i wrażeniami, a ciasna je-
dnostronność wydaje mi się kalectwem.

— W jakimże celu przystąpiliście do partii,
jeśli nie myślicie poświęcić wszystkich sił wa-
szych? My nie mamy czasu na poezję, romanse,
uczucia... my musimy pracować. Czy nie tak?

Helena, która zaprzyjaźniła się z Olga, czuła
się w obowiązku stanąć w jej obronie.

— Na wszystko jest czas, mówi Salomon, jest
czas pracy i odpoczynku po pracy — uśmiechnęła
się — i w niczem nie zaszkodzi to partii, gdy po-
dziwiamy np. ten piękny widok.

— Czy i wam się podoba? — zaśmiał się.

— I jak jeszcze! Patrząc, odczuwam, że ta zie-
mia jest nasza, jest mi bliska, rodzona.

— Ach, teraz ja was rozumiem! — uśmiechnął
się z drwiącym lekceważeniem. — U was gra za-
wsze szowinistyczna nuta, to ładne... bo nasze, bo
polskie! I gdzie wasze zasady międzynarodowej
socjalnej demokracji! No, gdzie? One utonęły
w szowinizmie narodowym.

— Waldman, nie bądź ślepym fanatykiem —
zaśmiał się Edmund — moim przekonaniom socy-
alnym nic a nic to się nie sprzeciwia, że mówię
po polsku, myślę po polsku, lubię polską ziemię
i polskie obrazy.

— Już ja czuję, że ty się weźmiesz do roboty —
mówił zjadliwie — ale do polskiej, nie do socy-
alnej.

— Kto więcej zrobi, pokaże przyszłość, a te-
raz chodźmy w górę, na szczyt — zawołał wesoło.

Weszli w cichy las liściasty, który mienił się
barwami gorącymi. W promieniach zachodzącego
słońca lśniły się liście od ciemnozielonych, purpu-
rowych, pomarańczowych w odcieniach aż do ja-
snozielonych. Podłogę lasu zasypało było tym bar-
wnym dywanem i wśród chwiejnych cieni przebły-
skiwało żywymi kolorami. Nie było w tym młodym
lesie powagi i smutku boru, śmiał się życiem, grą
barw, różnorodnością ulistnienia, zdawało się, iż
drzewa współzawodniczą ze sobą w rozciąganiu
swych blasków i kształtów.

Droga pięła się w górę, zwolnili wszyscy kro-
ku, a Olga rzekła z pewną nieśmiałością:

— Może kolega Waldman ma rację, że pra-
cujemy mało... Już dwa tygodnie istnieje „Pochod-
nia“ i sama nie wiem, co robić, aby przysłużyć
się partii.

— Znajdzie się wkrótce dla was robota — prze-
mówił Żalecki. — Jesteśmy na drodze organizacji
fachowej szwaczek i modniarek... tam będziecie
miały koleżanki obszerne pole pracy.

— A kiedy się zacznie? — spytała z pospie-
chem Helena.

— Przypuszczam, że w niedługim czasie, dam
wam znać, a nim to nastąpi, przygotujcie się z od-
czytem.

— Odczyt? — mówiła Olga z wahaniem —
nie wiem, czy potrafię?... czy podołam? Tak mało
znam ich życie, warunki, poziom umysłowy...

— Jacy wy zabawni, koleżanko, z waszemi wą-
pliwościami — zaśmiał się Waldman — te dziew-
częta zaledwie skończyły niższe szkoły, mózgi to
marne, niewyrobione, przyjmą jak święte księgi
wasze słowa o równości, poprawie bytu, a jak za-
czniecie mówić o wyzysku, będą was uwielbiały.

— Bierzesz zbyt powierzchownie — zrobił uwa-
gę Żalecki — aby pracownica lub robotnik słu-
chał ciebie uważnie, musi wpięrow nabrać przeko-
nania, że ty istotnie znasz warunki jego pracy.

— Cóż łatwiejszego, jak poznać te warunki —
zaśmiał się. — Ja rzadko bywam w parowej ce-
gielni i kaflarni mego ojca, mnie boli los robotni-
ków... ale za godzinę wiem się, ile zarabiają, ile
kar płacą... to nie jest żadna sztuka.

— Szczęśliwszy jesteś odemnie — uśmiechnął
się Żalecki — bo miesiąc cały byłem robotnikiem

w rafinerii nafty i dopiero dowiedziałem się coś-
kolwiek.

Olga z odcieniem szacunku spojrzała na mó-
wiącego, a twarz jego, dotychczas dla niej oboję-
tna, wydała się jej pełną energii i siły woli. Pod-
niecona przedmiotem rozmowy, zwróciła się do Ża-
leckiego:

— Czy nie moglibyście, kolego, wskazać mi
drogi poznania robotnic?

— Wam? — spojrział uważnie na nią, na jej
suknię — hm... wy za wykwintnie wyglądacie...
możecie być podejrzeni, że przychodzicie ze strony
pracodawczyń... ale zresztą dam wam adres... zgło-
sicie się tam i rozmówicie.

— Dziękuję wam — mówiła tonem serdecznym —
już mnie męczyła ta bezczynność.

— A nie zapominajcie i o mnie — zawołała
Helena — znam trochę dołę szwaczek u krawczyń,
mogę się przydać.

— Dobrze, koleżanko.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, a Waldman
zbliżwszy się do Żaleckiego, mówił:

— Wiem, że ci eladnicy piekarscy organizują
się... Ja miałbym ochotę do nich przemówić... po-
staram się o fachowe wiadomości i już ja popro-
wadzę agitację gorącą... rozpalę ich do czerwono-
ści... Czy dasz mi znać, gdy organizacja będzie
gotowa?

— O ile sam będę wiedział.

— No, to dowiedz się — nalegał Waldman.

— Dobrze, o ile nie zapomnę.

— Już ja ci przypomnę.

Weszli na szczyt i usiedli zmęczeni na złomach
kamieni.

W dole, niemal u stóp ich leżało miasto. Pię-
trzyły się domy, kamienice, publiczne gmachy, a
ponad całym tym tłumem kamiennym strzelały ku
niebu smukłe wieże kościołów, wznosiły się kopuły
świątyni i patrząc ze wzgórza, miało się złudzenie,
że miasto ciągnie się w nieskończoną dal. Promie-
nie zachodzącego słońca rozświetliły mury i da-
chy, zapalały blaski na szczytach, a w szybach
zajśniały czerwone łuny. Pięknemu widokowi,
grze światła przepatrywali się w milczeniu, wtem
rozdarł tę ciszę ostry, przenikliwy, dojmujący gwizd
syren fabrycznych, znak ukończenia jednej pracy,
rozpoczęcia drugiej.

Łagodny, rozmarzony wyraz twarzy Żaleckiego
spochmurniał, oczy zabłyśły złowrogo i syknął
niemal:

— To gwizd bata pędzącego niewolników do
pracy nad siły.

— Nareszcie zrozumiałeś, że nie dla nas są
piękne widoki i rozkoszowanie się artystyczne —
zaśmiał się Waldman — robotnicy takich uczuć
nie znają.

— Ale powinni doznać — odezwała się Olga —
i my nauczymy ich tego.

— Kiedy jednak to osiągniemy? — mówił to-
nem żalu i współczucia Żalecki. — Gdyby czło-
wiek mógł się rozdzielić na atomy i żeby każdy
atom mógł czuć i działać, czas wyzwolenia, czas
szczęścia i spokoju byłby bliski, ale chwilami roz-
pacz mnie ogarnia, gdy widzi się ogrom pracy, a
tak mało bojowników.